



JAN KASZYŃSKI

Dnia 29 października 1946 r. w Warszawie p.o. sędzia śledcza Sądu Okręgowego w Warszawie, delegowana do Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich w Warszawie Halina Wereńko, działając na mocy Dekretu z 10 listopada 1945 r. o Głównej i Okręgowych Komisjach Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce (DzU RP nr 51, poz. 293), przesłuchiwała niżej wymienionego na zasadzie art. 254, w związku z art. 107 i 115 kpk, w charakterze świadka, który po uprzedzeniu o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań, zeznał, co następuje:

Imię i nazwisko	Jan Kaszyński, b. więzień obozu w Oświęcimiu, nr 4070
Data urodzenia	19 listopada 1920 r. w Warszawie
Wyznanie	rzymskokatolickie
Narodowość i przynależność państwowa	polska
Stan cywilny	żonaty, półtoraroczny syn
Miejsce zamieszkania	Warszawa, ul. Łochowska 36 m. 23
Wykształcenie	średnie
Zawód	funkcjonariusz Milicji Obywatelskiej w Głównej Komendzie w Warszawie

W dniu 19 września 1940 r. między godziną 8.30 a 9.00 zostałem zabrany przez gestapo z domu przy ul. Łochowskiej 36 w Warszawie. Była to ogólna obława. Przeprowadzono mnie wraz z innymi lokatorami tegoż domu na punkt zborny przy ul. Otwockiej, skąd samochodami pod eskortą gestapo zostaliśmy przewiezieni na teren dawnej ujeżdżalni przy ul. Szwoleżerów. Na miejscu wprowadzono nas partiami do budynku wyglądającego na kasyno oficerskie, gdzie przy stolikach zastawionych ciastkami i kawą siedzieli oficerowie gestapo, którzy

przy pomocy tłumacza zbierali nasze personalia. Na miejscu część zatrzymanych, którzy okazali się dowodami zatrudnienia w instytucjach pracujących dla Niemców oraz agendach Zarządu Miejskiego, jak również młodocianych do lat 17, zwolniono. Zwalnianie chaotycznie prowadził oficer gestapo, do którego trudno było się docisnąć i który czasem – nie czytając – darł przedkładane mu dokumenty. Ponadto zdarzyło się, że do partii zatrzymanych idących do zwolnienia przyłączyli się mężczyźni, których dokumentów oficer nie oglądał i że z transportem skierowanym do obozu wyjechali młodociani.

Przebywałem na terenie ujeżdżalni od 19 do 21 września, godzina czwarta. 20 września ustawiono nas kolumnami według alfabetu, przygotowując transport do wyjazdu. W czasie pobytu na ujeżdżalni nie dano nam nic do picia, a do zjedzenia otrzymałem tylko kromkę chleba. Zaznaczam, że z domu byłem zabrany bez śniadania. Na terenie ujeżdżalni był jeden kran, wokół którego trwała ciągła walka o wodę. Przeszło 2,5 tys. zgrupowanych więźniów, niemających żadnych rzeczy, nie mogło zaspokoić pragnienia. Noc spędziliśmy, siedząc w hali, pilnowani przez czeskich SS-manów ubezpieczonych czterema karabinami maszynowymi. Siedzieliśmy w ciasnych rzędach na podłodze. Z rodzinami nie można było nawiązać kontaktu. Posterunki pod groźbą użycia broni odpędzwały rodziny, opornych bijąc kolbami.

21 września było jeszcze ciemno, gdy samochody zaczęły wywozić partie po 50 zatrzymanych osób na dworzec Warszawa Zachodnia Towarowa. Na dworcu przyszykowany był skład pociągu towarowego, złożony z wagonów krytych (bydlęcych). Do każdego wpędzano 50 osób. Koszmar przeżycia od chwili zatrzymania i niezaspokojone pragnienie spowodowały, że w chwili ładowania nas do wagonów wielu miało gorączkę.

Moja grupa w czasie załadowania zachowywała się biernie, zbyt odurzona, by myśleć o ucieczce, wobec tego ładowanie odbywało się składnie. W wagonie nie wszyscy mogli siedzieć, ponieważ było ciasno i gdy jedna połowa siedziała, druga musiała stać. Oczywiście, nie było ubikacji. Wagony zostały zamknięte na kłódki. Pilnująca nas eskorta umieściła się w pierwszym wagonie za lokomotywą i w ostatnim. Wyjechaliśmy z Warszawy o czwartej rano w niewiadomym dla nas kierunku. Przejeżdżając przez Szcześliwice pod Warszawą, przez gęsto okratowane okienko wagonu zaczęliśmy wyrzucać kartki adresowane do naszych rodzin z wiadomościami, że nas wywożą. Jedna taka kartka trafiła do moich rodziców i mam ją dotąd. W drodze nie dano nam nic do picia. Między 15.00 a 17.00 pociąg zatrzymał się w szczerym polu i usłyszałem strzały. Później się okazało, że w jednym z wagonów zatrzymani wyrwali

deskę ze ściany i dwóch usiłowało zbiec. Ucieczka się nie udała. Zbiegowie zostali zastrzeleni, a ciała ich wrzucono do wagonu i dowieziono do miejsca przeznaczenia.

Około północy minęliśmy stację Oświęcim, po czym po dłuższym manewrowaniu pociąg zatrzymał się. Byliśmy na bocznicę obozu Oświęcim, koło magazynów. Słyszeliśmy stuk otwieranych wagonów i krzyki komend niemieckich. Wreszcie otworzono nasz wagon i padła komenda, byśmy się skupili na połowie wagonu, po czym wskoczyło trzech SS-manów z miejscowej załogi z pistoletami i latarkami w rękę. By uniemożliwić ucieczkę, SS-mani – wyładowując wagon – ustawiali się szpalerem, tak że dotykali się łokciami. Padła komenda, by wyskakiwać z wagonu, przy czym SS-mani będący w wagonie usilnie pomagali nam dosadnymi przekleństwami i kopnięciami ciężko okutych butów. Ponieważ było ciemno, wagon był wysoki, a bocznicą nie posiadała rampy, skakało się w ciemność. Przy takim skoku zwichnąłem sobie nogę w kostce i parę tygodni nie mogłem normalnie chodzić.

Wyładowanych ustawiano w kolumnę, po czym wśród wrzasków, bicia i kopania przywiezionych SS-mani odprowadzili nas przez główną bramę z obiecującym napisem *Arbeit macht Frei*, do centralnego obozu Auschwitz.

Ustawiono nas na placu, z zachowaniem kolejności, jaka była w Warszawie, i przystąpiono do sprawdzania stanu. Odbywało się to w ten sposób, że kolejno odczytywano nazwiska zatrzymanych. Na odczytane swoje nazwisko musiałem odkrzyknąć „jestem” i przebiec do kolumny sprawdzonych. Krzyknąłem za cicho i jeden z więźniów Niemców, kapo, uderzył mnie w głowę za uchem, co spowodowało u mnie chwilowy stan zamroczenia. Po sprawdzeniu listy, w tej samej kolejności, poprowadzono nas do kąpieliska (*Waschraum*) w 19 bloku według starej numeracji. Przed kąpieliskiem kapo i oficerowie SS upominali nas, abyśmy wyrzucili na wskazane nam miejsce zsypu, chleb, papierosy, zapalniczki, zbyteczne papiery, ewentualne posiadane paczki i do kąpieliska weszli tylko w ubraniu z dowodami tożsamości. W kąpielisku najpierw elektrycznymi maszynkami strzyżono głowy do gołej skóry. Następnie w sąsiedniej sali kazano nam rozebrać się do naga i każdy dostał drut do związania swojej garderoby, jak również dwa kawałki tektury z napisanym numerem. Ja dostałem nr 4070. Jeden numer przyczepiłem do swojej garderoby, drugi pozostawiłem sobie, jako właściwy dowód tożsamości. Nasz transport dostał numery do ok. 5400.

Po tych czynnościach przerzucono nas do trzeciego pokoju, gdzie był lekarz więzień obozowy, który pytał, czy więzień nie jest chory, na jakie choroby chorował itd. Więźniowie

zatrudnieni w politbiurze – dział ewidencji, spisali nasze personalia i znaki szczególne. Z tego pokoju skierowali nas do problematycznego wykąpania się w szybkim tempie pod chłodnym prysznicem z poganianiem przez SS-manów. W następnej sali dano nam jedną koszulę, kalesony i cienki pasiak, niedopasowane do naszej miary. Pozwolono nam zatrzymać własne obuwie, skarpetki oraz paski do spodni. Z sali tej zabierał kapo grupy po 50 osób i odprowadzał na przeznaczone bloki. Ja trafiłem na 10a, gdzie blokowym był kapo Willy, nazwiska nie znam, nawiasem mówiąc porządny człowiek. Nie zauważyłem, żeby bił więźniów z zadowoleniem. Jeżeli którego uderzył, to wtedy, kiedy był zmuszony do tego obecnością swoich władz zwierzchnich lub SS-manów.

Przeznaczono mnie do sali nr 2. Położyliśmy się na siennikach papierowych wypchanych słomą. Koców do przykrycia nie wystarczało. I tak około czwartej rano po raz pierwszy zasnąłem w obozie, przykryty wspólnie z drugim towarzyszem niedoli jednym kocem. (Koce były nowe i insektów nie było.)

Nazajutrz była niedziela. Pozwolono nam spać do około dziewiątej. Po wstaniu i ubraniu się sienniki zostały złożone pod ścianą sali i przykryte kocami. Blokowy poinformował nas, że na siennikach nie wolno siedzieć, rąk w kieszeniach nie wolno trzymać, a w razie wejścia na salę kogoś z władz obozowych, pierwszy więzień, który wejście zauważy, ma krzyknąć *Achtung!* i zameldować stan sali.

O dwunastej wybrano kilkunastu więźniów do przyniesienia obiadu. Przyniesiono także miski i łyżki, lecz w niedostatecznej ilości. Na pierwszy posiłek w obozie otrzymaliśmy trzy czwarte litra zawiesistej zupy ugotowanej z pęczaku i kartofli. Na kolację dostaliśmy pół litra półsłodkiej kawy, jedną trzecią bochenka chleba i około 3 dkg starej słoniny. Na drugi dzień rano otrzymaliśmy pół litra gorzkiej kawy. Takie mniej więcej racje żywnościowe zostały zachowane, z tym, że w pewnych okresach jakość pokarmu pogarszała się i zmniejszano porcje np. do pół litra zupy dla tych, którzy nie mogli pracować.

Pierwszy gong, który nas budził ze snu, był o godzinie 4.30, a o 6.00 zaczynał się apel, który polegał na sprawdzeniu stanu liczbowego obozu. Apel odbywał się na ogromnym placu dzielącym czworobok obozu centralnego na dwie niesymetryczne części. *Rapportführer* meldował stan komendantowi obozu. Po przejściu raportu przez komendanta obozu, wydawał komendę *Arbeite kommando entreten*. Więźniowie, którzy już byli przed nami w obozie, łamali wówczas kolumny bloków i ustawiali się kolumnami, jakimi chodzili do pracy.

Po pierwszym apelu pozostaliśmy na placu. Tłumacz – więzień Mazur rodem ze Śląska, przedstawił nam kolejno *Blockführera*, młodego podoficera SS, lat około 19, blokowego Willego, jego zastępcę „Fryca”, po czym na polecenie *Blockführera* dostaliśmy lekcję komendy i musztry niemieckiej. Następnie uczono nas marszu „żabką”, czyli w przysiadzie (na komendę *laufschrift marsch marsch*). Do dalszego ćwiczenia nas zmuszano więźniów wydzielonych z naszej grupy, a rozumiejących język niemiecki. Tak zaczęły się godziny beznadziejnego marszu po wyżwirowanym placu, pod czujną obserwacją różnych kapo i *Blockältesterów*, w większości wypadków kryminalistów, noszących w odróżnieniu od więźniów politycznych zielone trójkąty.

Po upływie kilku dni zaczęto przydzielać nam do ćwiczeń kapów, którzy zapoznawali nas z warunkami i wymogami obozu. Zapoznanie to opierało się przeważnie na ogólnym przeganianiu, poszturchiwaniu, na indywidualnym biciu po twarzy lub maltretowaniu. Ćwiczenia takie odbywały się w grupach po stu ludzi, ewentualnie mniejszych. Odznaczył się przy tym blokowy bloku 17a, nazwiska nie pamiętam, który za najmniejsze uchybienie w musztrze bił pięściami w żołądek i serce, czego rezultatem było opuszczenie żołądka lub serca.

W tym to czasie *Lagerältester* Bruno, nadterminowy więzień nr 1 narodowości niemieckiej, zainteresował się naszymi ćwiczeniami. Upatrzył on sobie adwokata z Warszawy, nazwiska nie pamiętam, który nieudolnie wykonywał ćwiczenia, wywołał go z szeregu i przy całym repertuarze wymysłów i porównań jak: *du polnische Schweine, verdanten Polacken* itp., uderzył go w okolice skroni i zabił na miejscu.

Wielu więźniów po ćwiczeniach było odnoszonych na izbę chorych. W tych warunkach po upływie kilku tygodni obuwie nam spadło z nóg, a jakakolwiek praca zdawała się zbawieniem. I ta też wkrótce się zaczęła. Nie orientowałem się dobrze w nazwiskach władz obozowych. Dały się jednak słyszeć takie jak: Palitsch, Fritsch. Często dało się zauważyć, że ćwiczenia obserwują wyżsi oficerowie SS. Kapowie wtedy okazywali więcej gorliwości w znęcaniu się nad nami, ponieważ *Lagerkomendant* nie znosił bezruchu, bo lubił śpiew i zlecił nauczenie nas piosenki: *Im lager Auschwitz war ich zwar*.

Wciąż rozglądaliśmy się za możliwością ucieczki z maszerującej do pracy kolumny. W związku z tym, że zaczęto rozbudowywać ogrodzenie obozu, zaczęto wybierać z ćwiczących grup ludzi do przenoszenia słupów betonowych, na których później rozpięte były druty kolczaste

z włączonym prądem elektrycznym. Wtedy okolicznościowo brano i mnie do przenoszenia słupów. Wolałem jednak tę bardzo ciężką pracę niż musztrę na placu.

W krótkim czasie transport nasz został rozdzielony na pracujące kolumny więźniów. Grupy więźniów z wcześniejszych transportów używane były do pracy poza obozem przy zbiorach w okolicznych majątkach pod zarządem komendantury obozu. W miarę wyniszczania się starszych kolumn, dobierano do pracy więźniów z naszego transportu. I tak w końcu października 1940 r. zostałem zaliczony do kolumny pracującej w magazynach później nazwanych *Bahnhof*. *Oberkapem* był tam niejaki Zygfryd, Niemiec znany jako „Kapo bez Ręki”. Równie dobrze potrafił bić posiadaną lewą ręką, miał też w swoim repertuarze: *hipfen* i *rollen*. To ostatnie polegało na turlaniu się po ziemi i stosowane było w czasie niepogody. Jednak za nieznanne mi przewinienie został wywieziony z obozu i ślad po nim zaginął. Krążyła wersja, jakoby powiesił się w pociągu.

Od grudnia 1940 r. *Oberkapem* na magazynach został kapo August, kryminalista niemiecki. Stosował te same metody, co jego poprzednik. Potrafił bystrym okiem wypatrzeć chwilę zatrzymania się więźnia dla odpoczynku, wzywał go do siebie i bił czym popadło, ewentualnie metodycznie odliczał 25 uderzeń kijem w siedzenie delikwenta. Jednemu z więźniów rodem z Lubelskiego złamał rękę za to, że ten chciał się osłonić od uderzeń i nie zachował postawy na baczność. Tłumaczem jego był Śluzak, późniejszy kapo Peter – średniego wzrostu, tęgi, przysadzistej budowy, o szerokim karku, niebieskooki, blondyn. Znęcał się nad nami, zmuszając do nadmiernej pracy. W maju 1941 r. zmusił grupę stu więźniów, w której pracowałem, do przetoczenia kilkunastu wagonów towarowych. Mimo natężenia wszystkich sił, wagonów nie udało się przetoczyć. Przyszła nam z pomocą druga grupa stu ludzi. Ale wagony stały jak przymurowane. Rozwścieczony tym kapo Peter chwycił trzonek od kilofa i zaczął bić więźniów. Bił tak, że na ósmym z kolei więźniu trzonek pękł. To także nie pomogło, bo okazało się, że jeden wagon był zahamowany. Po odhamowaniu wagonu skład ten przetoczyliśmy. *Vorarbeiterami* grupy Magazyny, jak również i innych terenów pracy, byli Polacy, którzy jednak w okresie mojego pobytu zachowywali się „dość możliwie”. Były także wyrodne jednostki, które wysługiwały się Niemcom.

Przez cały czas mojego pobytu w obozie nie można było otrzymywać paczek od rodzin. Jedynie w czasie Świąt Bożego Narodzenia w 1940 r. pozwolono rodzinom przysłać kilogramową paczkę, a około Nowego Roku 1940/41 sweter, szalik i rękawiczki. Paczki

otrzymaliśmy pootwierane. Przy czym koledzy stwierdzili brak lepszych produktów. Była to oczywiście kradzież.

Niezależnie od złych warunków i bicia, stosowano również dla więźniów kary indywidualne: jedna z cięższych, to była kara słupka. Polegała ona na tym, że delikwenta wieszano za ręce wykręcone na plecy, tak że nie sięgał stopami ziemi. Karę słupka odbywało się w niedzielę. Gdy więzień mdlał, oblewano go wodą, a wiszącemu ciału SS-man, kapo czy blokowy, nadawał ruch wahadłowy. Po ukaraniu więzień sam zgłaszał się do karnej kompanii. Niezgłoszenie się po odbyciu kary było nie do pomyślenia, ponieważ groziły za to dalsze represje. Stosowano także uwięzienie w bunkrze z racją żywnościową – porcją chleba i wody – oraz metodycznym biciem. Karę słupka stosowano na okres jednej godziny i dłużej [za to], że ktoś niezjedzony na kolację chleb przyniósł na teren pracy i jadł go w czasie pracy lub za jedzenie surowej brukwi itp. Odstraszającym przykładem było postawienie więźnia na kilka godzin przy bramie z brukwią w ustach w postawie na baczność. Za te i tym podobne przewinienia stosowano także karną pracę w czasie wolnym, ewentualnie przesyłano więźnia do SK (*Strafkompanie*), często na stały pobyt. Karano też za niewydajną pracę, powolność i uchylanie się od pracy, w języku obozowym nazywane markowaniem. Za próbę oddalenia się od grupy pracy i ewentualną próbę ucieczki SS-mani mieli rozkaz strzelać.

Zwłoki składane były na terenie obozu w pobliżu bramy i miejsca postoju orkiestry, a na tablicy pisano kredą, że taki sam los czeka każdego, kto będzie usiłował uciekać. Rany zabitych były obnażone, żeby mocniej zastraszyć więźniów. Kary wyznaczał *Lagerkommandant* za pośrednictwem *Rapportführera*.

Mistrzem od słupka był blokowy karnej kompanii, mieszczącej się w 13 bloku, więzień kryminalny narodowości niemieckiej Krankenmann, który pełnił tam funkcję przez okres kilku miesięcy w początkowym okresie mojego pobytu w obozie. On właśnie był tym, który wieształ na słupku zgłaszających się więźniów. Krankenmann był znany z tego, iż nie potrafił przejść spokojnie obok więźnia, by go nie uderzyć najzupełniej bez powodu. Mnie uderzył dwa razy całkiem bez powodu, w okresie, kiedy był blokowym na 4 bloku.

Jedną z metod wyniszczania było zaprzęganie więźniów do betonowego walca, którym utwardzono wyżwirowane place czy drogi. W większości wypadków do pracy przy walcu wybierano Żydów i księży. W stosunku do księży w początkowym okresie był specjalnie ostry

kurs. Podczas bicia i krzyków nieszczęśliwcy ci musieli ciągnąć walec w tę i z powrotem przez beznadziejnie długą dzień pracy.

W czasie mego pobytu w obozie przypominam sobie dwa wypadki udanej ucieczki więźniów. Wiosną 1941 r. uciekł więzień ze świeżo przybyłego transportu z więzienia świętokrzyskiego. Był to więzień kryminalny. Ucieczka mu się udała. W końcu maja 1941 r. uciekł więzień polityczny Polak, mieszkaniec Oświęcimia. W chwili gdy przyjechał furmanką do miasta Oświęcim z eskortującym go SS-manem, ten wszedł do sklepu po papierosy, więzień zaciął konie i uciekł. Za kilka dni znaleziono wóz, konie i ubranie więźnia, ale ten zdążył już zbiec dalej. Wybrano 50 więźniów z właściwych bloków, licząc co 10, i rozstrzelano. Do drugiego wypadku zastosowano też represje w stosunku do ludności. Przywieziono grupę 50 ludzi, mieszkańców miasta Oświęcim, najbliższą rodzinę uciekiniera, jak również i dalszych krewnych. Wszyscy dla przykładu zostali rozstrzelani na terenie *Industriehoff I (Holzplatz)*.

Prócz wypadków ucieczki udanej zdarzały się próby nieudane. W połowie sierpnia 1941 r. widziałem, jak zastrzelono dwóch więźniów karnej kompanii, którzy usiłowali zbiec. Zbiegowie przebiegali około 10 m od SS-mana, który nic nie zrobił, żeby ich zatrzymać, lecz strzelał z zimną krwią.

W wypadku ujęcia uciekającego, po apelu wymierzano zbiegowi karę chłosty. Na odpowiednio skonstruowanym stołku rozciągano go i czterech SS-manów na zmianę wymierzało sto uderzeń w siedzenie i plecy delikwenta. Naturalnie stu batów żaden z więźniów nie wytrzymał i egzekucja taka kończyła się przeważnie śmiercią.

W końcu listopada komin krematorium dymił bez przerwy. Jeszcze jedno z morderczych zarządzeń komendanta. Obóz zaczęto rozbudowywać. Na centralnym placu apelowym przystąpiono do budowania trzech nowych bloków. Wznoszone mury potrzebowały cegły. Usłyszeliśmy zarządzenie: każdy, kto pracuje w magazynach, obowiązkowo przy każdym powrocie do obozu na apel musi przynieść pięć cegieł, bez względu na to, czy stary, czy młody. Zdarzało się często, że wracając do obozu, byliśmy obciążeni współtowarzyszami, którzy nie mogli iść o własnych siłach, ewentualnie zmarli w czasie pracy. Z chwilą wydania zarządzenia zrobiła się tragedia. Nieszczęśliwcy ci, którzy mieli za mało siły, żeby iść o własnych siłach, zmuszani byli do brania dodatkowego ciężaru. *Lagerkommandant* używał sobie w ten sposób, że wspieranych przez nas zmuszał kopnięciami eleganckich butów do samodzielnego poruszania się.

W grudniu 1940 r., w czasie gdy padał śnieg z deszczem, stanęliśmy do obiadowego apelu. Apel również przeciągał się. Jak się okazało *Rapportführer* nie zdał raportu ze stanu obozu, ponieważ brakowało jednego więźnia, który – jak się później okazało – usnął na słomie w magazynach. Staliśmy cały okres przerwy obiadowej, od 12.00 do 13.30, przemoczeni i zmarznięci. Potem zostaliśmy wezwani do ustawienia się kolumnami pracy i bez obiadu poszliśmy pracować. Z naszej kolumny na magazynach liczącej około 2 tys. ludzi, do wieczornego apelu zmarło około dwustu więźniów. Więzień, który usnął, został zabity przez kapów. Nieznana mi jest liczba ofiar tego dnia z innych terenów pracy, lecz była także duża, ponieważ trupy były zwożone wozami.

Pierwsza egzekucja przez rozstrzelanie była w listopadzie 1940 r. Rozstrzelano 10 więźniów za kuchnią obozową, przy czym sam komendant obozu dobijał z pistoletu jeszcze żyjących. Zimą 1940 r. i wiosną 1941 r. krematorium pracuje całą dobę bez przerwy. Piece nie wygasają. W czasie mego pobytu w obozie komór gazowych nie było, natomiast z końcem 1941 r. czynione były przygotowania do ich uruchomienia. Według opowiadania więźnia nr 4581, niejakiego Edwarda Kernerę, Polaka z Warszawy, pierwsze gazowanie odbyło się na początku 1942 r. Ofiarą padło 600 jeńców sowieckich, a w tym byli wyżsi oficerowie lotnictwa i wielu komisarzy, oraz 120 Polaków, którzy w tym czasie siedzieli w piwnicach bloku użytego na komory gazowe. Osobiście gazował *Rapportführer* Palitsch. Ciała tych ludzi wywieziono w nocy na teren pracy *Rajskokommando* i tam na stosach spalono. W czasie mego pobytu wykańczano więźniów wyniszczającą pracą i złymi warunkami (bardzo liche jedzenie i niedostateczne ubranie). W kwietniu 1941 r. grupę około 400 więźniów najstarszych, których w szpitalu nie chciano trzymać, a do pracy się nie nadawali z powodu zastarzałych ran, odmrożeń członków i wyniszczenia organizmu, wysłano na teren przygotowany pod budowę fabryki [tworzyw] syntetycznych *Buna-Werke*. W ciągu tygodnia, a najwyżej dwóch, grupa ta wymarła. Niestety nie znam nazwisk eskorty SS, jak też i kapów. W początkach listopada pracowałem wspólnie z karną kompanią przy wywożeniu żwiru z rzeki Soły. Porozumiewać się z więźniami karnej kompanii nie pozwolono. Za porozumiewanie z nimi groziło wcielenie do niej. Nas, z wolnych bloków, pracowała tam grupa 200 ludzi. Po przepracowaniu dwóch tygodni byłem zupełnie wyczerpany. W tym czasie mogłem się zorientować, jaki terror panuje w karnej kompanii.

W każdej kompanii, gdzie przebywali Żydzi, księża i inni więźniowie, bito i zabijano za najdrobniejsze przewinienia.

Kapo sadyści maltretowali na różne sposoby. Blokowym karnej kompanii był Niemiec Krankenmann. Mieściła się ona w bloku 13, posiadającym betonowe bunkry o małych celach, gdzie skupiano możliwie dużo więźniów (do celi 2 na 1,5 m wpędzano 12 kapo i 30 więźniów Polaków, przy czym kapo mieli przy sobie noże). Polacy wszyscy zginęli. Tolerancja władz obozowych pozwalała kapom na wszystko i nikogo nie obwiniano za śmierć więźnia.

W grudniu 1940 r. karna kompania liczyła około 900 ludzi. W tym czasie przywieziono transport 500 chłopów z Lubelszczyzny, zabranych w czasie pacyfikacji tamtych terenów lub za działalność konspiracyjną i skierowano ich do karnej kompanii, gdzie wszyscy zginęli. Wynika z tego, że władze zwierzchnie władz obozowych wiedziały, czym jest karna kompania i że dyrektywy odnośnie do całych grup więźniów przychodziły także z góry. Wewnątrz obozu tylko komendant obozu mógł skierować do SK. W stosunku do księży, którzy byli w karnej kompanii, był specjalnie zaostrzony kurs (nosili fioletowe trójkąty). Racje żywnościowe mieli zmniejszone i nigdy żadnej dokładki. W czasie powrotu z pracy karna kompania zawsze niosła kilka trupów zakatowanych kolegów.

W pierwszej połowie grudnia wkręciłem się do pracy w magazynach. Na skutek kopnięcia w nogę przy pracy przez jednego z kapo otworzyła mi się rana, która wobec wyniszczenia organizmu nie goiła się. Poszedłem na kilka tygodni do rewiru mieszczącego się kolejno w bloku 12, 15, 20 i z powrotem 15. Przy każdej przeprowadzce chorych mogących chodzić wyrzucano mimo ran do pracy. Lekarzem kwalifikującym, kogo można zostawić na rewirze, był dr Dering, chirurg warszawski.

W tym czasie doświadczeń na więźniach nie robiono.

W końcu grudnia 1940 r., leżąc w izbie chorych, widziałem przez okno, iż dziennie wnoszono z kostnicy bloku od 20 do 30 skrzyń z trupami. Do jednej skrzyni kładziono dwa ciała. Na salach leżeliśmy pokotem wzdłuż ścian, przy czym stan wahał się od 30 osób do 65. Racje żywnościowe były takie same jak i dla pracujących. W rewirowym bloku nr 20, na sali chirurgicznej bez względu na pogodę i mróz otwierano okna, ponieważ cuchnęły rany. Przy 30 stopniach mrozu koce pokrywały się szronem. Były okresy, że opatrunków nie zmieniano i dwa tygodnie, a ropa wygryzała zdrowe ciało i rany się powiększały.

Na początku marca 1941 r. zaziębiłem się i zachorowałem na zapalenie płuc. Zaopiekował się mną medyk, więzień Krzysztof Hofman i dr Włodawski, syn byłego dyrektora pogotowia warszawskiego – 558-58. Dzięki ich staraniom i opiece przetrwałem zapalenie płuc i postarali

się o przetrzymanie mnie w izbie chorych do czasu nabrania sił. Przy czystce zostałem jednak przez lekarza Niemca wyrzucony z bloku i trafiłem do przesiewania żwiru. Dozorował nas kapo, jakoby demokratą niemiecki (nosił czerwony trójkąt), który nielitościwie bił nas trzonkiem od łopaty. (Pracowaliśmy wtedy koło kuchni). Później przydzielono mnie do kolumny transportowej w magazynach, gdzie pracowałem przy rozładunku wagonów. W czerwcu 1941 r. niezagojona rana na nodze powiększyła się tak, że coraz trudniej było mi chodzić. W tym okresie dało się zauważyć przygnębianie ogarniające więźniów. Zdarzało się coraz więcej aktów rozpacz, jak rzucanie się na eskortę, rzucanie się na elektryczne druty ogrodzenia i inne.

W końcu lipca 1941 r. dostałem się ponownie na izbę chorych, blok 16a, z zaognioną nogą (groziło zakażenie).

W sierpniu 1941 r. odbyła się selekcja chorych więźniów, dokonana przez lekarza oficera SS, nazwiska nie znam. Wybrał on około 120 więźniów najbardziej wynędzniałych, niemogących chodzić o własnych siłach, z otwartymi ranami, po czym grupa ta została wyprowadzona i zniknęła. Słyszałem, że została zlikwidowana na terenie karnej kompanii przez rozstrzelanie, a ciała spalono w krematorium.

Zwolniony zostałem z obozu prawdopodobnie na skutek starań rodziców, bez podania powodu, dnia 19 września 1941 r. Posiadam kartę zwolnienia (*Entlassungsschein*) z podpisem *SS-Sturmbahnführera Hößa* i fotografię zrobioną w obozie.

W okresie pobytu w obozie usłyszałem kilka nazwisk, które nie były mi obce. Pokazano mi byłego posła do Sejmu Stanisława Dubois, którego poznałem, ponieważ znałem go przed wojną z jego działalności (należałem do Czerwonego Harcerstwa i Koła Młodzieży Socjalistycznej). Było to w 1940 r. Poseł Dubois nosił rękę w gipsie. Powodu złamania ręki nie znam. Później posła Dubois straciłem z oczu, jak również z nim nie rozmawiałem.

Po powrocie do Warszawy dowiedziałem się, że gestapo dopatrzyło się, że poseł Dubois jest w obozie pod fałszywym nazwiskiem i przewieziono go do Warszawy. Słyszałem wersję, że został rozstrzelany w Palmirach pod Warszawą.

W 1941 r. latem wskazano mi na placu apelowym byłego premiera Bartla, który pracował na równi z innymi więźniami. Co się z nim stało, nie wiem.

Leżąc na izbie chorych, zetknąłem się z prof. Patkowskim z Warszawy, autorem książki pod tytułem *Sandomierszczyzna*. Stary ten człowiek na pewno nie wytrzymał warunków

obozowych. W tym samym czasie leżeli na izbie chorych książę Mirski i hrabia Sobieszczański herbu Nałęcz – obaj nie żyją. Był tam także obywatel egipski, prof. dr Korwin Pawłowski, z pochodzenia Polak. Zetknąłem się także z księdzem Janem Bojewskim z Niepokalanowa, który zmarł na biegunkę, ponieważ za wcześnie zaczął wszystko jeść.

W kwietniu 1941 r., gdy leżałem w izbie chorych, przyszedł na salę w roli *Stubeältestera* były major WP, niejaki Grześkowiak z Warszawy. Potrafił dojść do tego, że bił nas, chorych, drewnianym kijem za nieutrzymanie porządku. Później sam zachorował na serce i po dość długiej chorobie zmarł.

Z artystów polskich słyszałem nazwiska Znicz i Sawan, z którymi nie wiem, co się stało.

W roku 1940 – 1941 do ostatniego dnia [mojego] pobytu w obozie nie było żadnych ekspozytur obozu. Birkenau, Brzezinka, Waldfriden koło Jaworzna powstały później. Początkowo istniał tylko centralny obóz z 20 blokami, kuchnią, a za ogrodzeniem koszary SS i kasyno.

Krematorium było pierwszym budynkiem wzniesionym przez więźniów. 20 bloków, w których były pomieszczenia obozu, to dawne budynki koszarowe, nieskanalizowane i wody bieżącej w obozie nie było. Obóz początkowo był ogrodzony zasiekami z drutu kolczastego, a później płotem z drutami pod wysokim napięciem.

Odczytano.